OGNISKO DOMOWE

Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.

Rok 5 CHOJNICE Nr. 20

Ewangelja.

W on czas: mówił Jezus uczniom swoim: zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, jeśli o co prosić będziecie Ojca w Imię moje, da wam. Dotychmiast ni ocoście nie prosili w Imię moje. Proście, a weźmiecie: aby radość wasza była pełna. Tom wam powiedział przez przypowieści. Przychodzi godzina: gdy już nie przez przypowieści mówić wam będą: ale jawnie o Ojcu oznajmię wam. W on dzień w Imię moje prosić będziecie: i nie mówię wam: iż ja będę Ojca prosił za wami. Albowiem sam Ojciec miłuje was: żeście wy mnie umiłowali, i uwierzyliście żem od Boga wyszedł. Wyszedłem od Ojca, a przyszedłem na świat: zaś opuszczam świat, a idę do Ojca Rzekli mu uczniowie jego: oto teraz jawnie mówisz, a żadnej przypowieści nie powiadasz. Teraz wiemy, że wszystko wiesz, a nie potrzebać żeby cię kto pytał. Dla tego wierzymy żeś od Boga wyszedł.

Nauka.

Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Jeśli o co prosić będziecie Ojca w imię Moje, da wam.

Dwukrotnie powtórzenie tego słowa, zaprawdę, jest największem zapewnieniem ze strony Zbawiciela, o skuteczności modlitwy naszej, kiedy ją zanosimy w imię Jezusa Chrystusa.

Dla czego jednak nie zawsze bywamy wysłuchani w prośbach naszych: Bo źle prosimy, jak mówi św. Jakób.

Najpierwszym przeto warunkiem modlitwy jest: abyśmy ją zanosili w imię Jezusa Chrystusa. Co nic innego nie jest, jedno zasługi Jego i zadosyćuczynienie, którem wszystko za nas wypłacił, Ojcu Niebieskiemu przekładać i tem niejako Go zobowiązywać, aby nam był miłościw, i dawał co nam potrzebne.

Tu uważamy, że Pan Bóg nam nic nie dłużny, bośmy Jego niewolnicy. Wszystko co mamy, Jego jest. Wszystkie prawa na nas ma, aby nam nie czynił z obowiązku, a mógł nas zgubić, jak i kiedy chce. Ale iż jest dobrocią i miłością samą na wielką pociechę naszą, nam na Siebie prawo związać się, słowem Swojem i obietnicą Swoją, że nam dobrze czynić będzie i nigdy nas nie opuści. A nawet i przysięgą stwierdził tę obietnicę, jako czytamy w Piśmie św., kiedy Abrahamowi obiecuje jego potomstwo rozmnożyć, i z jego krwi zesłać Odkupiciela świata, którym ma błogosławić wszystkich ludzi: Przysięgałem sam na się, mówi Pan, i żeś to uczynił dla mnie, to jest syna swego jedynego na Moje żądanie chciałeś złożyć w ofierze, rozmnożę nasienie twoje, jako gwiazdy na niebie... i w nasieniu twojem błogosławię wszystkie narody. Co Pan Bóg uczynił, mówi Apostół, dla nas, abyśmy przez te dwie niewzruszone rzeczy, to jest przez obietnicę i przysięgę, dla których niepodobnem jest, aby Pan Bóg miał skłamać, bardzo mocną nadzieję mieli.

Ztad gdy Bóg za bałwochwalstwo chciał ten naród Abrahamowy wygubić, Mojżesz modląc się do Niego powoduje się na przysięgę Jego, mówiąc: Pamiętaj Panie na Abrahama, Izaaka i Jakóba, którym sam na siebie przysiągłeś że masz rozmnożyć potomstwo ich, jako gwiazdy na niebie. Prawda, iż oni na zgubę zasłużyli swoją złością, ale nie patrz na ich grzechy, ale na słowo swoje, boś ty jest prawdziwy; złość ich niech Twojej prawdy nie obala. Amen.

Kardynał Wiseman.

FABIOLA.

Część pierwsza.

Chwile rozejmu.

„Powiadam wam, kochajcie nieprzyjaciół waszych, czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą i módlcie się za tych, którzy was prześladują i czernią; abyście byli dziećmi Ojca waszego w niebie, który każe słońcu przyświecać zarówno złym i dobrym, a deszczowi padać dla sprawiedliwych i niesprawiedliwych“.

Myśli te zastanowiły ją; — nie znała podobnej książki, — nauka w nich zawarta zdawała się jej niepojętą i nadzwyczajną. Dziwne uczucia opanowały Fabiolę. — Czyje mogą być te zdania? ani greckiego ani rzymskiego filozofa; są albo bardzo fałszywe, albo bardzo prawdziwe, albo wzniosłą cnotą, albo podłem kłamstwem. Czy można podług tej nauki postępować? czy też jest ona świetnym paradoksem? Nie chcę dłużej męczyć się nad tym przedmiotem? Albo raczej poradzę się Syry; podobne to do jej pięknych a niepraktycznych teorji. Nie, lepiej nie mówić z nią o tem. Bałamuci mnie wzniosłemi dążnościami, tak niedostępnemi dla mnie, chociaż jej się tak prostemi wydają. Umysł mój potrzebuje spoczynku.

— Otóż najkrótszy sposób pozbyć się odrazu przyczyny niespokojności i zapomnić o tych męczących słowach. Niechaj lecą na wiatr lub niepokoją tego, kto je znajdzie przy drodze... ho! stój Formio! zatrzymaj powóz i podnieś ten kawałek pergaminu, który opuściłam.

Woźnica wypełnił rozkaz pani, i kartka umyślnie wyrzucona, to samo co pierwej zajęła miejsce na piersiach Fabioli, jakby pieczęć na jej sercu; i to serce też już ciche było i spokojne dopóki nie stanęli w domu.

ROZDZIAŁ XVI.

Pokusa.

Bardzo rano przewodnik z mułem stanął pod drzwiami Chromacjusza. Zawieszone na mule dwie

niewielkie torby stanowiły cały znany majątek Torkwata. Wielu przyjaciół odprowadziło go do bramy, aby go pożegnać. Nie jeden szepnął w ucho przyjaciela czule, łagodne słowo, zachęcając, aby był wierny, hojnie doznanej łasce pana, a Torkwatus gorąco i zapewne szczerze obiecywał, że będzie. Inni wiedząc, że odjeżdżający nie bogaty, wciskali mu w rękę skromny datek i błagali, aby unikał dawnych znajomych i miejsc, przed nawróceniem uczęszczanych. Nareszcie Polikarp, naczelnik zgromadzenia, wziął go na bok, i ognistemi słowy błagał, aby się poprawił z niedoskonałości, nieznacznych może, ale grożących, które się w postępowaniu jego dostrzegać dawały; aby nie puszczał wodzy lekkomyślności, której często w postępowaniu swojem dał dowody, a pilniej się do chrześcijańskich cnót przykładał. Torkwatus ucałował rękę czcigodnego kapłana i przyjął błogosławieństwo; potem odebrał listy polecające na drogę, i niewielką sumkę na opędzenie kosztów.

Nareszcie wszystko było gotowe, ostatnie bywaj zdrów wymówione, i ostatnie szczęśliwej drogi życzenie; i Torkwatus, dosiadłszy mula, prowadzonego przez przewodnika, jechał wolno wzdłuż ulicy prowadzącej do bramy. Długo potem, gdy wszyscy już powracali do domu, Chromacjusz stał we drzwiach zamyślony, spoglądając łzawem okiem za odjeżdżającym. Takiem musiało być spoglądanie ojca ewangelicznego za marnotrawnym synem.

Ponieważ willa nie była na bitej drodze, skromny czworonogi ekwipaż najęty był dla przeprowadzenia podróżnego przez pola do Fundi (teraz Fondi) jako do najbliższego miasta. Tam miał sobie obmyślić dalszy sposób odbycia podróży. Pieniądze Fabioli usunęły wszakże wszelkie w tym wypadku trudności.

Podczas drogi myśl Torkwata wracała do niewinnych przyjemności stolicy cesarskiej, do spacerów, muzyki, malowideł i artystycznych piękności. Zapomniał, że ta wykwintność żywiołem jest niezmiernego zbioru ludzkich istot nieszczęśliwych i łaknących: że zapala namiętność, ambicję podnieca, postanowienia osłabia, hart tępi! — Biedny młodzieniec! myślał, że może przechodzić przez ogień i nie spalić się. Biedna ćma, chciała przelecić przez płomień, a nie okopcić skrzydeł swoich.

W podobnem usposobieniu jechał czas jakiś, gdy przewodnik zawołał „Fundi", wskazując na miasto tuż przed niemi.

Torkwatus przejrzał listy i wyjął ten, który był przeznaczony do tego miasta. Przewodnik zaprowadził go do skromnej gospody najuboższej klasy podróżnych, i dobrze zapłacony oddalił się. Potem Torkwatus wywiedziawszy się o drogę do domu Kasjana, nauczyciela szkolnego, udał się do niego i list oddał. Przyjęty był z taką czułością, jakoby w domu rodzicielskim, i zaproszony na skromny obiad nauczyciela, usłyszał opowiadanie o przyszłym jego życiu.

Rodem z Fundi, Kasjanus utrzymywał w Rzymie z wielkiem powodzeniem szkołę, którąśmy poznali w początkach powieści naszej. Lecz widząc, że prześladowanie się zbliża, i że jego wyznanie odkryte, rozporządził szkołą swoją i powrócił do rodowitego miasteczka, gdzie po wakacjach miał sobie obiecane dzieci możniejszych obywateli. W chrześcijaninie widział tylko brata, i jako z bratem rozmawiał z Torkwatem bez obawy o przeszłych zdarzeniach życia i o przyszłych widokach swoich. Dziwaczna myśl nasunęła się Torkwatowi, że może kiedyś te szczegóły opłacą się złotem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Gwoździe krzyżowe.

Po długiej podróży przez góry i doliny, lasy i pola Matka Boska z św. Józefem stanęli pod wieczór przed bramą miasta. Obcy tu byli, nikogo nie znali. Błąkali się więc po ulicach, placach i zaułkach. Może otworzą się gdzieś miłosierne jakieś drzwi i użyczą nocnej gościny strudzonym wędrowcom, pomyśleli szukając. Zatrzymali się nareszcie przed niską chałupą przed którą się żarzył czerwony ogień. Była to kuźnia przystawiona do chałupy, okopcona, okryta czarnym dachem, sięgającym do połowy ulicy.

Przed paleniskiem stał kowal, ciągnął miechy, że płomienie aż jasno buchały i żelazo do białości się rozżarzyło. Jego to Marya zagadnęła: „Ach, kowalu drogi, nie masz kącika dla mnie? Już sił nie starczy nigdzie nie chcą mnie przyjmować, zadowolę się byle jakim kącikiem". Ale kowal ani spojrzał, tylko twardemi słowy Panią naszą odprawił: „Nie mam ni miejsca, ni czasu, by się o was troszczyć. Patrzcie, jak i gdzie się umieścicie, a mnie nie zawracajcie głowy".

Ogromnie się zasmuciła Matka Boska, oczy jej zwilgotniały, a łzy jej, czerwone niby krew, potoczyły się w czerwonym blasku paleniska po obliczu. Mimo to nabrała odwagi i pytała się nieśmiało kowala: „Ach, drogi mistrze, co też kujecie i klepiecie tak późno w nocy, poco czuwacie zamiast spać!" Kowal przez chwilkę zatrzymał się, kleszczami wydobywał z ognia długi, wielki gwóźdź, pokazał go naszej Pani, mówiąc: „Kuję gwoździe żelazne, któremi przybiją do krzyża Mesjasza, Pomazańca, który teraz niedługo się ma narodzić. Tak jest, gwoździe krzyżowe ukuwam". Ogromny głośny ból wyrwał się z serca Matki Boskiej. Pełna strachu uciekła od ludzi, wstępując w ciemną, głuchą noc.

Z daleka dolecał ryk wołu, za którym idąc trafiła do stajni. Tu o północy narodziło się dzieciątko Jezus. Prócz św. Józefa i Matki Boskiej żadne ludzkie stworzenie radośnemi oczami nie przyglądało się pacholątku. Patrzały na nie tylko woły i osły i milczące gwiazdy przez dziurawy dach. Matce Boskiej było tęskno za ludźmi. Dla tego ogromnie ucieszyła się, gdy nad ranem jakaś dzieczyneczka weszła do stajni. Była to córka kowala, co odtrącił od swego domu Panią naszą, ponieważ musiał kuć gwoździe krzyżowe.

Zawołała na dziewczę Marja: „Chodź kołysać mojego Jezuska"! — „Nie mogę, mówi dziewczę, bo ręce moje martwe i chore ramiona moje suche". — „Chodź, córeczko, dotknij się chustki, w którą owinęłam dzieciątko, a ożyją ręce i ramiona twoje". Na to córka kowala jeszcze smutniej odpowiedziała:

„Nie mogę przecież widzieć ni dziecka ni chustki, bo jestem biednem, niewidomem dziewczęciem". — „To chwyć za żłób, który przed tobą stoi, a przejrzysz". — Ręce dziewczynki domacały się żłóbka i dzieciątka a nagle spadła noc z jej oczu i krzepkie życie rozlało się po jej dłoniach i ramionach. Z wielkiej radości zapomniała o Matce Boskiej i dzieciątku, poleciała do swego ojca, którego szczęśliwemi ramionami ogarnęła i śmiała się do niego pełnemi oczami. Jemu zaś z przerażenia wypadł młot z ręki, przetarł sobie oczy i pieścił coreczkę z nadmiernego szczęścia.

Gdy się zaś dowiedział, że dzieciątko Jezus jest synem tej Pani, co ją dnia poprzedniego od domu swego odtrącił, poleciał, jak stał w kuźni, do owej stajni, rzucił się do stóp Matki i dziecka i prosił o łaskę i przebaczenie. „Gdybym był wiedział, kto ty jesteś, mówił, pokój z złota i srebrna byłbym ci dał. Głowę własną byłbym pochylił na twarde kamienie, nogi na ostre kolce. Doprawdy zasłużyłem na śmierć i potępienie!"

Kowala zrozpaczonego pocieszała Matka Boska dobrotliwemi słowami, że mu aż łzy kulały po czarnej twarzy. „Idź już i wierzaj! Niebo stoi otwartem dla tych, co czynią pokutę!" — Kowal długo jeszcze żył. Był wierny i pobożny i wykuwał podkowy i robił klucze. Trzech gwoździ krzyżowych zaś już nie kuł.

Legenda o Chrystusie.

(Dokończenie).

Ale znowu myśli jego zwróciły się ku starcowi, którego syn walczył ze śmiercią. Po raz drugi więc oparł nogę na końcu miecza. W tejże samej chwili uczuł, że tenże przestał się kołysać i pod dotknięciem jego stopy stał się trwałym, a nawet trochę się rozszerzył. Za następnym zaś krokiem spostrzegł, że ze wszechstron podtrzymuje go powietrze. Niosło go ono poprostu, jakgdyby był ptakiem i miał skrzydła. Kiedy zaś chłopczyna przechodził przez ów most, dały się zeń słyszeć jakieś łagodne dźwięki. Usłyszawszy je, ludzie odwrócili głowy i ujrzeli pacholę, które bez wahania szło po ostrzu miecza. Wszyscy byli tem tak zdumieni, że nie śmieli prawie wierzyć własnym oczom. Pierwsi przyszli do siebie kapłani i wysłali natychmiast jednego z lewitów po owego biednego staruszka, a gdy ten przyszedł, rzekli do niego:

— Bóg uczynił cud, aby okazać, że ofiara twoja jest Mu miłą. Dawaj swoje jagniątko, abyśmy je ofiarowali.

Kiedy zaś obejrzeli się dokoła, szukając chłopczyny nigdzie nie mogli go znaleźć. Przesunął się bowiem pomiędzy tłumem do ciemnego przedsionka, gdzie na ścianie wisiał róg miedziany i, usiadłszy w pobliżu, przyglądał mu się z uwagą. Myślał też jak pięknem być musi móc pociągnąć ku sobie wszystkie ludy na ziemi, i zapragnął zatrąbić na starym rogu. Rozumiał jednak, że to jest niepodobieństwem i nie próbował nawet tego uczynić. Marzył wszakże ciągle o tem, jakby się czuł szczęśliwym, gdyby zjednoczył wszystkie ludy w miłości i zgodzie pod swojem panowaniem.

W przedsionku tym siedział pewien mądry i świętobliwy mąż w gronie swoich uczniów. Właśnie zwrócił się do jednego z nich, zarzucając mu, że jest oszustem. Duch Boży bowiem oznajmił mu, że ten młodzieniec nie był Izraelitą, ale cudzoziemcem. Święty więc mąż pytał, go, dlaczego przybrał fałszywe nazwisko i zakradł się podstępnie do grona jego uczniów. Wówczas młodzieniec wstał i oświadczył, że przebył niezmierzoną pustynię i przepłynął morza aby poznać istotną mądrość i usłyszeć o jedynym prawdziwym Bogu.

— Dusza moja usychała z tęsknoty za prawdą! — zawołał. — Wiedziałem jednak, że nie zechcesz mię uczyć, jeżeli nie dam się poznać jako Izraelita. Dlatego jedynie skłamałem, teraz zaś błagam cię, pozwól mi tu pozostać.

Na te słowa świątobliwy mąż zerwał się z miejsca, wzniósł ręce ku niebu i krzyknął z oburzeniem:

— Tak samo nie możesz pozostać tu dłużej, jak nie zjawi się nigdy taki, ktoby zatrąbił w róg księcia świata. Nie masz prawa przekroczyć progu świątyni, bo jesteś poganinem!

Ale młodzieniec ruszył się z miejsca, mówiąc:

— Nie odejdę stąd, bo dusza moja nie znajdzie nigdzie spokoju i ochłody. Wolę raczej umrzeć u stóp twoich...

Natychmiast jednak pośpieszyli uczniowie owego mędrca, aby wypędzić cudzoziemca, gdy zaś spróbował opierać się temu, rzucili się na niego i chcieli go zabić. Wszystko to widział i słyszał nasz chłopiec, a wreszcie rzekł do siebie:

— Co za straszna zatwardziałość serca! Ach, gdybym zdobył zatrąbić w róg miedziany, pragnieniu tego biednego obcego przybysza stałoby się zadość

Wstał więc i drobną swą dłonią dotknął rogu. W tej chwili nie chciał być potężnym władcą, ale pragnął udzielić pomocy owemu młodzieńcowi, który się znajdował w niebezpieczeństwie. Uczuł, że trąba sama przez się zbliża się do ust jego. Skoro zaś tylko odetchnął głęboko natychmiast silny, dźwięczny ton ozwał się w świątyni. Uczniowie świątobliwego męża wypuścili ze swych rąk owego młodzieńca i cofnęli się zawstydzeni, a sam mistrz rzekł do niego:

— Chodź i siadaj tu przy mnie. Bóg uczynił cud abyś się wtajemniczył w Jego naukę i w Niego uwierzył.

* * *

Tymczasem godziny mijały szybko jedna za drugą i stroskani rodzice oddawna już szukali syna. Kiedy zaś wreszcie znaleźli go pomiędzy uczonymi w Piśmie i usłyszeli o wszystkiem, co się dzięki jemu stało, wówczas matka zaczęła płakać. Spostrzegłszy to chłopczyna natychmiast pośpieszył ku rodzicom. Niebawem opuścili miasto, lecz matka wciąż jeszcze rzewnemi zalewała się łzami. Szli przez całą noc i matka nie przestawała płakać. Wreszcie dziecię zapytało:

— Dlaczego tak się smucisz, matko? Wszak jam jam nie pragnął własnej sławy, ale Bog zdziałał przeze mnie te cuda, ponieważ chciał pocieszyć troje strapionych ludzi. Skoro zaś tylko głos twój usłyszałem, zaraz przybiegłem do ciebie.

— Synu mój — odparła matka — płaczę, ponieważ straconym jesteś dla mnie i nigdy już do mnie należeć nie będziesz. Odtąd sprawiedliwość będzie celem twego życia, raj przedmiotem twojej tęsknoty, a miłość twoja obejmie wszystkich biednych ludzi jacy żyć będą na ziemi.

KONIEC.

Mokronos

Historja o człowieku, który ukradł Pana Jezusa.

Hen na kresach jest wieś Przyłubie, wśród bagnisk i lasów, odludna i opuszczona, a tylko stary zmurszały krzyż z Męką Pańską pod wójtowym sadem świadczy, że jeśli nie kultura, to jednak światło wiary Chrystusowej przenikło te leśne gąszcze, te bagienne dokoła opary, i prostaczkom Przyłubie zamieszkującym drogę do poczciwego życia i do wiekuistej szczęśliwości wskazaje.

A żył w tej wsi chłop już stary, o którym nie wiada byłc, dobry on li zły, biedny czy bogaty, pobożny albo przykazań Bożych nie szanujący. Bo chytry był z niego przechera, każdemu dogadywać, wszystkiemu basować umiał. A zwał się on Mokronos.

Ten to Mokronos, ilekroć pod wójtowym sadem przechodził, zawsze łakomym wzrokiem na Mękę Pańską patrzył. Nie żeby łask Chrystusowych pożądał lub grzechów odpuszczenia pragnął, jeno wedle tego, że Zbawiciel na krzyżu ze szczerej miedzi ulany, czy inak zrobiony był.

A do najbliższego miasteczka — juści trzydzieści wiorst było do niego — przyszli niedawno Prusacy i za wszelaki „mental" srogie płacili pieniądze. Coprawda psiejuchy rekwirowali miedź i ołów i cynę i co się

dało, ale jak kto po dobroci twardziznę jaką przyniósł to mu chętnie płacili, nawet jakiemiś nowemi pieniędzmi, z polskim orłem i z Kościuszką, o których mówiono, że okrutnej mocy nabiorą i siła więcej niż carskie ruble warte będą.

Hej, miły Boże (myslał se niekiedy Mokronos) taki kawał miedzi tym pogańskim pludrom zanieść, a dostałoby się pieniędzy, że już bez cały ozimek albo bez dwa nieby robić nie potrzeba było.

A choć to świętość Jezusowa, to kupiłyby ją te pieskie syny, jako przecie dzwony i lichtarze i inny sprzęt kościelny na potrzeby wojenne zabierają. Więc juści — kalkulował Mokronos — wzieniby i dobrze by zapłacili, bo co im ta Pan Jezus!

I nieraz przychodziła mu ochota, zdjąć Syna Bożego z krzyża i na handel do miasteczka z nim gnać. Ale bał się. Bał się okrutnie, że niechby wieś na niego się przekonała, jako ukradł Pana Jezusa, toby go pewnikiem na Judaszowe pole zawleki i jak psa ukamieniowali. Boć obcy nie mógłby ukraść. Nie zachodzą do wsi żadne dziady jako rok długi.

Na takich medytacjach i oskomach zeszła mu zima i zbliżała się wiosna, a z nią Wielkanoc. Wtedy to Mokronosowi albo djabeł podszepnął, albo od samego siebie chytra gadka przyszła do głowy. Rozważał ją długo, deliberował tak i owak, aż umyślił, że jednak można się na ową kradzież ważyć. I gdy się skończyła wielka sobota, noc była ciemna, że oko wykol, a ludziska po chatach siedzieli i na święta różne jeszcze szykowali zbytki, Mokronos wymknął się z izby, pod obejście sołtysowe się zakradł, lęk, co go zbierał, przemógł w sobie i postać Zbawiciela z drzewa świętego zerwał.

Gdy to zrobił, na chwilę zjeżyły mu się włosy na głowie, ale wnet wspomniał, ile to grosza Prusacy za taki wielgachny kawał zapłacą... i pognał do chałupy z Chrystusem pod kapotą. Miał on zaś w izbie schowek dobry, przemyślny bardzo, tam Pana Jezusa wsadził i czekał.

Nadeszła wielkanocna niedziela, jaśnista, słoneczna, pachnąca — cała wieś siarczyście wystrojona wyległa na drogę, do sadów, przed ogrodowe opłotki, gdy nagle gwałt powstał we wsi, jakby na gorenie. Ludzie chcieli się Przed Męką Pańską pomodlić — a tu na krzyżu niema Pana Jezusa!

Zleciała się cała wieś, jedni złorzeczyli zbójcom, co na Jezusa rękę podnieśli, baby płakały, dzieciska lament czyniły, a byli i tacy, którzy to za złą wróżbę tłumaczyli i za zapowiedź różnych nieszczęść dla wsi uważali.

Wmieszał się zaś między rozżalony naród i Mokronos i jął tak podgadywać:

— Nie widzi mi się, aby był we wsi łajdus, coby Zbawiciela ukradł. Musiał się stać cud i Pan Jezus, jako, że się męka Jego skończyła, zmartwychwstał z naszego krzyża. Trzeba czekać, aż nie wróci albo innego znaku nie da.

Tak mówił Mokronos i wiarę jakoś znalazł, bo wnet rozruch zrobił się jeszcze większy. Kto żył padał na kolana przed krzyżem, jako, że w cud chętnie ludzie uwierzyli.

I było onej wielkanocnej niedzieli we wsi dużo do gadania. U wójta się zeszli, pili, deliberowali do późnej nocy, Mokronosa godnie honorując, że to taką wygadkę obmyślił i zło ode wsi odwrócił.

To też późno było, gdy Mokronos do chałupy wracał z tem, aby jutro, jeno świt, Pana Jezusa w płachtę zawinąć i niby to do krewniaków, do miasteczka się wybrać.

Dochodzi do chałupy — kiż djabli, w oknach się świeci! A przecie Mokronos nie miał ni baby, ni dziecek, sam był jako ten kołek w płocie. Chyba złodzieje, pomyślał sobie, i duchem wskoczył do izby.

Wpadł, rozgląda się i jak nie chrymnie na ziemię...

Na środku izby w jasności wielkiej Pan Jezus stał, zupełnie do tego na krzyżu podobny, z taką samą smutną i bolejącą twarzą.

W Mokronosie ze strachu śmiertelnego krew zastygła i odrazu żal obrutny za serce go ścisnął.

— Panie Jezu — jęczał — Panie Jezu...

A Jezusek słodki nic, ino patrzy na niego i odzywa się z łagodnością wielką:

— Mokronos, cóżeś uczynił?

Teraz dopiero Mokronos poznał, jakie to straszne świętokradztwo popełnił. Bije tedy łbem o podłogę, pazurami ją drapie i bose nożki Jezusa całuje.

A Pan Jezus znowu do niego:

— Żałujesz? powiedz!

Na to Mokronos do cna się skruszył i już nie jęczeć, ale ryczeć począł:

— Daruj, Panie Jezus, daruj... zabij! zakatrup, ale nie gub duszy.., Panienko Najświętsza, ratuj!

Wtedy Pan Jezus do niego:

— Niema winy, którejby nie odkupiła Męka Moja. Weź młotek i gwoździe i chodź zemną.

Uczynił Mokronos, jak mu Pan Jezus kazał. Wychodzą z chałupy, a Pan Jezus prosto do wójtowego sadu i pod krzyż.

— Teraz On mnie umęczy — pomyślał ze strachem Mokronos — ale niech ta, byle piekła uniknąć, a w ogniu czyściowym duszę zbawić.

A gdy już byli blisko, pomyślał jeszcze:

— Jutro cała wieś mnie zobaczy jako tego łotra na krzyżu!

Podeszli całkiem, a tu Pan Jezus unosi się w górę i choć nie przybity, z rozpostartemi ramionami do krzyża przylgnął.

— Mokronos — mówi — bierz młotek i ukrzyżuj mnie!

Mokronos, jakby go kto obuchem zajechał, znów na ziemię do nóg Jezusowych chrymnął.

Chryste, jakże to? — woła — nie ja Ciebie, a Ty mnie ukrzyżuj! Pokuty chcę, męki chcę, aby duszę z grzechu okrutnego oczyścić.

A gdy on tak prosił, Pan Jezus spojrzał w niebo i rzekł:

— Uczyń jak ci kazałem. Krew Moja zmaże winy twóje. W głosie Pana Jezusa była moc tak wielka, że Mokronos, choć nie chciał na kolanach doszedł do krzyża, gwóźdź do stópek Chrystusowych przyłożył i młotkiem uderzył. Z rany Jezusowej prysnęła krew, a jedna jej kropla spadła na głowę Mokronosa. I w tejże chwili Mokronos skłonił się ku ziemi, w sercu i na duszy począł radość wielką, spojrzał jeszcze na Odkupiciela — i skonał.

Na drugi dzień rano nowy gwałt zrobił się we wsi. Na krzyżu wisiał znowu Pan Jezus ten sam, jakby go nikt nie ruszył i nie zdejmował. A u stóp Pana Jezusowych leżał martwy Mokronos, taki spokojny i uśmiechnięty, że mu — dziw powiedzieć — cała wieś takiej śmierci zazdrościła.

Drukiem i nakładem drukarni „Dziennika Pomorskiego". w Chojnicach.